

# Przyjaciel Ludu.

ROK DZIEWIĄTY.

No. 8.

Leszno,  
dnia 20. Sierpnia 1842.



*Jan Mazepa Hetman y kawda  
Przodzący Dżendretne i me  
Czestwa Woysefium*

M a z e p a.

M a z e p a (\*).

Imię Mazepy nie w jednej Ukrainie tylko,  
ale po całym świecie wielki odgłos miało. I nie

(\*) Wyjęto z Ateneum, numeru pierwszego, dru-  
giego oddziału. — Portret umieszczony na czele (mo-

mogło być inaczej; ten, co pomiędzy Piotrem  
Wielkim a Karólem XII, zbrojną ręką stanął,

że być współczesny, sądząc po stylu sztycharstwa) na-  
był Marcelli Zurowski w Inspruku i ożarował do  
Ateneum.



zajaśnieć musiał pożyczonym od obudwóch bla-  
skiem. Lubić i sam z siebie Mazepa nie był  
pospolitym człowiekiem. Z Kozaka szlachcic  
polski, Króla Jana Kazimierza dworzanin; z pa-  
zia znowu Asawuła kozacki; z Asawuły Het-  
man Piotra Wielkiego, doradca i przyjaciel.  
Nakoniec zdradziwszy Piotra Wielkiego, po prze-  
graney pod Puławą, ucieczki Karóla XII. to-  
warzysz, w Benderze życie kończy.

Historja zapisała publiczne czynności Maze-  
py, poezja przeistoczyła dzieje jego młodości,  
podania gminne zachowały pamięć jego na U-  
krainie, romanse opisały jego miłości, wynie-  
sienie i upadek. — Voltaire (1), Lord Byron (2),  
Puszkina (3), Bohdan Zaleski (4), Butłaryn (5),  
oddali imię Mazepy nieśmiertelności, jak je nie-  
gdyś Metropolita kijowski przekłębł Kościoła  
oddali.

A jednak kolébkę Mazepy dotąd niewiado-  
mość pokrywa. Jedni kronikarze czynią go szla-  
chcicem polskim, rodem z Podola; drudzy Ma-  
łorossyaninem; inni jeszcze kaza mu się rodzić  
we wsi Mazepiucach, pod Białą Cerkwią. Za  
kronikarzami poszli historycy. Poetom zostawio-  
ne było rozleglejsze jeszcze dla wyobraźni pole.

Mazepa młody, piękny, miał wszystkie ser-  
ca podbijać:

Cóż wam szkodzi wielkie Pany,  
Ze się kocham, żem kochany?  
Każda piękna dla mnie równa,  
Kiedym zdrowy, hoży, młody,  
Czy Szlachcianka, czy Królowna,  
Czyli żona Wojewody;  
Czy Rusinka, czy Czerkieska,  
Wiśniowiecka, czy Sobieska (6).

Zemścił się nakoniec obrażeni Panowie; i je-  
den z nich (The proud. Count. Palatine (7))  
odnowioną z czasów Brunchildy zemstą, przy-  
wiązać kazał nieszczęśliwego kochanka, na ko-  
zackim koniu, który go z przerażającą szybko-  
ścią do rodzinnej Ukrainy poniósł.

I w tém jednak większa część prawdy. Nie-  
można zaprzeczyć, że kobiety w życiu Mazepy  
wielką rolę grały, że wspomnę tylko Falibow-  
ską, karlicę Naryszkina, nieszczęśliwą Motro-  
nę Kocubiejównę, i Księżnę Dolską.

Historję młodości Mazepy, wyjaśniły dopie-  
ro wyborne: *Pamiętniki Paska* (8). W nich  
pierwszą wzmiankę znajdujemy o Mazepie, na  
dworze polskim pod rokiem 1662.: „Był to Ko-  
zak nobilitowany, pokojowy królewski.“ (9),

do tego musiał mieć rodzaj poufałości u Jana  
Kazimierza, bo mu różne plotki na Pana Paska  
nagadał. Pasek nie bardzo cierpliwy, oddał  
mu dobrze za swoje.

„Jednego czasu przyszedłem przed pokój,  
przed ten ostatni, gdzie Król był; zastałem tam  
Mazepę; nie było tylko kilku dworskich; przy-  
szedłem wtedy dobrze podpiity, i mówię do nie-  
go: „*Czotem Panie Asawuło!*“ On téż za-  
raz, jako to była sztuka napuszysta, odpowie:  
„*Czotem Panie Kapral!*“ (z téj racy, że mié-  
to Niemcy wartowali w Grodnie) a ja nie wie-  
le myśląc, wyciąłem go pięścią w gębę, a po-  
tém odskoczyłem zaraz; on się porwał za rę-  
kojęść, ja téż także; dworscy skoczyli i woła-  
ją: „*Stój, stój, bo Król za drzwiami!*“

Król jednakże nie bardzo ujął się za urazę  
dworzanina swego, owszem nie mniej łaskawie  
Paska przyjął, a później zawoławszy Mazepę, ka-  
zał im się ucałować i przeprosić (10).

Ale w drugim roku Mazepa ze wstydem wy-  
szedł z Polski, a to z téj przyczyny: Miał on  
na Wołyniu wioskę w sąsiedztwie z niejakim  
Falibowskim, z którego żoną zaprzyjaźnił się  
bardzo, i najczęścięj wtedy u sąsiadów bywał,  
gdy sam Falibowski wyjeżdżał. Trwało to czas  
jakiś, dopóki Falibowskiemu nie naszeptali do-  
mowi i obcy, co się u niego dzieje. Zdradzony  
mąż zasadił się na nieszczęśliwego kochanka,  
pojął go, namięczył się nad nim, a rozebra-  
wszy go do naga, na własnym koniu, twarzą  
do ogona przywiązał. Zhukano potém bystrego  
bachmata, i kańczukami osieczono, kilka razy  
mu nad uszami strzeliwszy. Tak więc gdy Fa-  
libowski, za umówioném hasłem w miejscu o-  
czekiwanego kochanka, oknem do żony wchodzi,  
szalony rumak unosi pana swego przez głóg, le-  
szczyne i ciernie, wążkami ścieszkami, przez  
dwie mile całe, aż przed wrota własnego domu.

Mazepa ledwie nie umarł z bólu; a zaraz  
po wyzdrowieniu wyjechał z Polski na Ukrainę,  
gdzie czekały go świetniejsze losy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Pielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

### Rozdział VIII.

#### Chamouny.

Po południu stanęliśmy w Chamouny; góra  
Biała była ukryta w obłokach. Chamouny wio-

samemu nazywano Iwan Stepanowicz; matka Magda-  
lena Marya, później przełożona dziewiczego peczer-  
skiego Klasztoru w Kijowie, siostra Aleksandra Ste-  
panówna, była naprzód za Obidowskim, potem za Ja-  
nem Wojnarowskim, Sędzią kijowskim — Ob. Ban-  
tyusz Kamińskiego, Historję Mało-Rossyi — passim.

(10) Jeżeli przypuścimy, że Mazepa miał wtenczas  
lat 18, (a na mniej trudno się zgodzić) to mógł się  
rodzić w 1644 roku. — Tę datę przyjmuje Dziejopis

(1) Histoire de Charles XII.

(2) Mazepa, poem.

(3) Piękny Poemat Puława.

(4) Dumka o Mazepie.

(5) Mazepa romans.

(6) Bohdan Zaleski, Dumka o Mazepie.

(7) Lord Byron. Mazepa.

(8) Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, wydał  
z rękopismu Edward Raczyński.

(9) Ojciec Mazepy miał imię Stefan, gdyż jego



ska nie wielka, lecz hotelów bez liku. Tu znajdziesz piękne gabinety kruszców, kamieni i przedmiotów z historyi naturalnej. Wszystkie kryształy i kamienie drogie, co tutaj są na sprzedaż, znalezione w grocie kryształów (la grotte des cristaux) leżące wśród gór; lecz przystęp do niej tak niebezpieczny, że tylko noga prawego i odważnego mieszkańca gór ją zwiedza; kto z obcych pokusił się widzieć tę pieczęć, życiem swą ciekawość przypłacił. Ptaki rzadkie, orły, sępy, kozy alpejskie w wielkiej widać tutaj ilości. Najwyższy szczyt góry Białej obłoki ciągle okrywają, lecz pasmo całe gór jasne; formacja nadzwyczajnie dzika; wszystkie góry w tak kończące wybiegają szczyty, że ogólnie igieł (aiguilles) nazwę noszą. Dolina Chamouny zewsząd ma dzikie widoki; w okół otoczona górami, pomiędzy którymi lodowiska aż w dolinę się spuszcza. Wiele jest pięknych miejsc, główne jednakże, lecz dla niebezpieczeństwa mało i tylko przez młodzież, czasem i przez śmiałe zwiedzane damy, jest morze lodowate (la mer de glace) i ogród alpejski. Napisawszy do przełożonego przewodników prosząc o pewnego człowieka, odebrałem odpowiedź, iż nazajutrz będzie gotów po wysłuchanej ranniej Mszy; lud bardzo nabożny w tych okolicach, żaden przewodnik nie puszcza się w drogę nie słuchawszy Mszy świętej. Obudzono nas rychło; gospodyni w wino, pieczeń, chleb nas zaopatrzywszy, szczęśliwego życzyła powrotu. Pojedyncze chmury przesunęły się po niebie; przewodnik obawiał się deszczu; szczęśliwie doszliśmy do gospody na Mont Anvers, ostatnie zamieszkałe miejsce w górach M. Blanc. Tu początek morza lodowatego co 10 lieues się ciągnie pomiędzy górami. Wspaniały widok! jakby morze wiatrem zburzone nagły zciął mróz, taką postać mają lody; tysiące błękitnych przepaści jak dzikich zwierząt paszczęki stoją rozwarte, a w okół sterczą skały: l'aiguille verte, l'aiguille de Dru, l'aiguille d'Argentieux, dalej wielki i mały Jorasse. Słońca promień ożywia obraz; po chwili odpoczynku ruszyliśmy dalej, dróżyna wąska idzie po nad skałą, ścieżka coraz się zwęża, aż w miejscu zwanem *les ponts*  $\frac{1}{2}$  stopy szeroka; w górę i w dół naga skała; przewodnik, jak koza zwyczajny chodzenia po górach, podał swój kosztur i szczęśliwie nas przeprowadził; trzy takie są przejścia. Gorsza nas jeszcze czekała przeprawa przez miejsca, zwane *à l'angle*; są to lodowiska obsypane piaskiem i kamieniami, przesiąknięte wodą, gdzie noga nie ma bezpiecznej podpory; minawszy i tę nieprzyjemność, weszliśmy na morze lodowate. Deszcz zaczął padać, lód był od deszczu ślizgi; aby nabrać więcej odwagi przewodnik radził,

napić się wina, potem silnie uchwyciwszy kosztur, pędem za jego śladem przez lód bieglismy. W biegu nie uważasz, tak bojaźliwie i łatwo przeskoczysz tam, gdziebyś, idąc wolno, dla zbytnej przezorności nie przeszedł; czasem przewodnik dopomaga, silną chwytając ręką, przez głęboką przerzucą otchłań. Przeszedłszy w szerz morze lodowate, idziesz przez *montée de Facule* i znów wchodzisz na lodowiska, *les glaciers du Talefre*, olbrzymie bryły lodów sterczą, a pod nimi bezdenne przepaści; boki minawszy lodowiska, ujrzyś po za górą trawnik, (le jardin) a koza alpejska zpłoszona przedkim skokiem ucieka w góry. Deszcz przestał padać, mgła się rozstąpiła. Uderzający widok! W okół nagie skaliste sterczą góry, w okół zimne lodowiska a w środku trawnik, tu i owdzie kwiatek rośnie. Zerwawszy na pamiątkę więdnące już kwiecie, krótko się pobawiwszy wracamy, bo nie bardzo miło w tym ogrodzie. Znów się niebo chmurzy, a zaledwo uszliśmy kilka kroków, śnieg gęsty spadł. Powrót był okropny; niżej na lodowiskach deszcz lał, każdy krok błędny nieszczęściem groził, zimno nielitościwe, wiatr powstał silny; kamienie urywały się i spadały na lodowiska; wszyscy wyrzekliśmy się podobnej wyprawy, a siedząc wieczorem przy kominku, wspomnieć było miło przebyte niebezpieczeństwa. Nazajutrz rano dzień był zupełnie pogodny; dziś ujrzałem szczyt góry Białej, wysokości ocenić nie można, bo za blisko. Wszyscy pisarze podróży straszą zbytnią drogocnością w Chamouny i my z nie małą obawą oczekiwaliśmy rachunku, lecz jakież było nasze zadziwienie, za trzy dni zapłacił każdy 14 franków francuzkich. Hotel tak tani, (hôtel de la Tour) gospodarz rzetelny, zasługuje na rekomendacyę; rozgłosiliśmy jego imię w Heidelbergu i Bonnii, a odtąd co rok liczba gości będzie coraz liczniejszą. Ztąd wzdłuż dolinę zmierzaliśmy do Genewy. Minawszy lodowiska Boisson, Taconat, góry coraz niższe, droga odmienna, aż koło Servoz pierwsze znów ujrzyś grona i pola. Coraz nowe mijasz góry, lecz z po za wszystkich widać grzbiet Białej góry. Nade drogą piękne wodospady Nast d'Arpenas i Nant de Maglan skaliste ożywiają widoki. Dolina się ścieśnia, aż koło Cluses zupełnie droga zdaje się skałami zasypana; zaledwo wyjedziesz z wąwozu, obszerny dla oka widok, dolina dość płaska ciągnie się aż do stopy Jury. Tu znów wielkie winnice, tatarka dojrzewa, ludzie uprawiają rolę po 6 lub 8 wołów przed jednym plugiem; drzewa łamią się pod ciężarem owoców, jarzyny dobre; a chłop wesoły, ciesząc się nagrodzonej pracy, drwi z przechodzących podróżnych i różnemi zaczepia dowcipkami; strój jego nie wieśniaczy, tylko miejski; na wzgórzach widać pałacyki i wille, wszędzie oznajmia bliskość wielkiego miasta, Genewy.

(Dokończenie nastąpi.)

wojen Karola XII., Adlerfeld, mówiąc, że w 1709 roku (w którym umarł) miał lat 61.





*Widok miasta Fryburg.*

## Wspomnienie z sandomierskiego.

### Sąd Skarbnika.

#### Powieść z podania Górników.

(Dalszy ciąg.)

#### II.

#### **Pielgrzymka na odpust do świętego Krzyża.**

Wiosna przybrała ziemię w czarowne swe szaty, świat cały zdaje się na nowo ożyć, i pięknnością odwdzięcza się Stwórcy za życie; ale gdzież więcej można podziwiać cuda odrodzenia przyrody, jak w górach, co najdłużej okryte śnieżnym rańtuchem zimy, skoro wiosenne słońce zaświeci, z najsmutniejszej, jakby za uderzeniem czarnoksiężkiej laski, najuroczniejszą przybierają postać. Po takiej to chwili przeobrażenia natury, poważny dzwon świętokrzyskiego Kościoła, bielącego się na górze daleko w okolicy widzianej, jakby latarnia dla zbłąkanych w żegludze żywota, zwoływał pobożnych na sławny w bliskiej i dalekiej okolicy odpust. Tysiączne echa rozniosły dźwięk śpiży, i z wszystkich skał i gór całego pasma uderzył w niebo jakby hymn olbrzymów. Ale nie tylko w skałach i górach znalazło się echo, w sercach ludzkich ozwał się oddźwięk, jeszcze

silniejszy, bo pociągnął za sobą dusze i ciała, i wnet cała lesista góra roila się z wszech stron na pobożną pielgrzymkę spieszącymi ludźmi, pojedynczo lub w gromadkach, z Księdzem i chorągwią kościelną na czele, z pobożną pieśnią na ustach. Mimowolnie tłum ten różnobarwny, zdążający do Klasztoru, cofnie myśl w przeszłość kilkowieczną, kiedy tą samą drogą ciągnął z wiernymi hufami Jagiełło, po błogosławieństwo sztandarów i oręza, w tym cudownym miejscu, gdzie krzyżem leżąc przed Pańskim ołtarzem w ciągu świętej ofiary, wymodlił zwycięstwo Grünwaldu dla drogiej ojczyzny. I dzisiaj ten sam lud w setnych odrodzony prawnukach, modli się za swym krajem, prosi, błaga o ulgę w srogich cierpieniach, ale Bóg nie uzbraja jeszcze silnej prawicy, nie zysła Jagiełłów, bo do każdego odrodzenia trzeba pierw odkupienia przez długoletnie, cierpliwę, męczeńskie łzy i krew. Wypełniają się mury obszernego Kościoła, co kilka kroków w zamkniętym krześle siedzi poważny Zakonnik, odbierający w imieniu Pana, wyznanie żalu, udzielający przebaczenia. Z ambony wciąż płyną słowa nauki w dusze pocziwego ludu, aż posępny dźwięk organu nie ogłosi rozpoczęcia ofiary świętej; w ten czas hymn: „Święty





*Widok miasta Bern.*

Boże!“ wyrywa się z tysiąca piersi, wstrząsa murami świątyni, a powtórzony przez gromady ludu, które za obrębem Kościoła dla braku miejsca, cały szczyt góry zajęły, zdaje się wypełniać cały świat ztąd widzialny, którego granicami, Karpaty, Wisła, w którego zakresie Wawelu mury. Po ukończeniu Mszy głównej wyspał się ten lud różnobarwny przed Kościoł, gdzie głównie odróżniały czerwone czapki Krakowiaków, czarne baranie przy białej sukmanie Sandomierzanów okolicznych, a przy ciemnej wędrowców z za Wisły, z nad brzegów Sanu. Każdy tam pod gołym niebem używał z sobą przyniesionej strawy, czekając nieszpory. Baby i dziady wciąż zawodziły krzykliwym głosem pieśni nabożne, zbierając jałmużnę w drewniane miseczki: a było ich wiele, wszelkiego rodzaju, kaleków, starców, opętanych, a może i w jakiejś części oszustów. Gdzie niegdzie przesuwały się twarze brodate, dzikie, przerażające, dla przypomnienia, że się jest w ojczyźnie świętokrzyskich rabusiów. Iluż to znajomych spotyka się w świętym miejscu co chwila, rozsypują się gromady i znów nowe tworzą, bo dwóch spotykających się kumów, zostaje jądrem nowego koła rozmawiających. Pod odwiecznym nieco od tłoku oddalonym świerkiem,

dwoje siedziało ludzi, parobek i dziewczyna, dzieląc między sobą z koszyka dziewczyny wydobytą żywność, z chleba i sera złożoną; samotność zdawała im się potrzebą; byli to Grzes i Anusia. Wybrali się do spowiedzi, do świętego miejsca, a dawszy na Mszę za duszę ojca, oczekując nieszpór, radowali się tymczasem szczęściem dwóch serc, które wśród tysiącznego tłumu dla siebie tylko żyją, i tak dobrze się rozumieją. Rozpoczęte nieszpory, zwróciły wszystkich do Kościoła, a śpiew nabożny znów podnosił serca ludu, płynąc do stóp tronu Pana nad Panny; gdy się ukończyły, każdy się pocął do domu wybierać, ale najskorsi do powrotu byli Grzes i Anusia, bo też i daleko mieli. Pierwsi oni zapuścili się w las odwieczny, wieńczący świętokrzyską górę, żegnając wzrokiem piękny i obszerny widok, który najprostszego człowieka nie może jak w miłe wprawić podziwienie, a wykształconemu największą sprawić rozkosz i smutek zarazem; rozkosz, patrząc na poważne Karpaty, zbożopławną Wisłę, i tę część ztąd widomą drogięj Polski, w taką piękną przybraną szatę; smutek, skoro się policzy wszystkie wspaniałe ruiny licznych grodów tej strony, których świetność przeminęła, i tylko wspomnieniem przeszłości świeci w oczy patrzącego.



Nasi podróżni szybko postępowali, bo po szumie wierzchołków niebotycznych jodeł i świerków, po ściemniającem się niebie, można było się spodziewać, że niezadługo burza zachuczy; jakoż w istocie tak się stało, grzmot okropny, w tysiącnych echach wstrząsł okolicą, w jednej chwili z jasnego dnia majowego ciemna noc się zrobiła, kiedy niekiedy tylko rozjaśniona straszliwą błyskawicą, w której świetle ukazywały się klasztory świętego Krzyża i świętej Katarzyny na dwóch górach sąsiednich, jak szkielety wielkoludów; pioruny rozdzierały odwieczne drzewa, lub kruszyły nagie skały wierzchołka Łysiej góry. Lunał deszcz, który ich zmusił szukać schronienia pod wyłomem skały, gdzie trzeba było przeczekać burzę. Strach ich ogarniał wśród tej strasznej walki żywiołów, wiedząc się tak bliskimi owej Łysiej góry, tak dobrze znaną jak Polska szeroka, jako zbiegowisko złych duchów, do której wiary sama powierzchowność jedynej w tym pasmie góry o nagim, martwym, kamienistym wierzchołku, jakby Bóg od niej odwrócił swe oblicze, kiedy dwie sąsiadnie Kościołami uwieńczone, a wszystkie poblizsze w ciemny płaszcz lasów otulone, nie może jak tylko się przyczynić. Chwilami myśleli się być umyślnie zbłąkanymi, by być świadkami święta djabelskiego, odbywającego się przy muzyce grzmotu i piorunów. Po jakimś czasie, jak wszystko na świecie, przeminęła i burza. Pozbywszy się strachu, podziękowali Bogu za odwrócenie niebezpieczeństwa i ruszyli dalej, ale dla spóźnionej pory, przez straconą chwilę czekania pogody, musieli przestać myśleć o powrocie do Szewny i pójść szukać noclegu w pobliskim miasteczku Słupi. Wieczór po pierwszej burzy wiosennej, nie ma chwili równiej w naturze, zbrodniarz największy uczuje wtenczas drzenie skamieniałego serca. Jakżeż więc dobrze na świecie musiało być Grzesiowi i Anusi po spowiedzi, z czystymi i gorącymi sercami, bez myśli o przeszłości, lub biedzie, co spotkać może człowieka; wśród uśmiechającego się, woniącego świata, bez świadka, przy czulej i prostiej rozmowie, o dzisiejszej i jutrzejszej chwili, bo szczęście nie zna wczoraj, tylko zawsze jutro, czyli jest ciąglem marzeniem, życzeniem większego szczęścia; i tak być powinno, bo szczęście jest najsilniejszym węzłem łączącym Boga z stworzeniem; Bóg je wciąż zsyła, człowiek o nie prosi, i tak w pół drogi zawsze się myślą z Bóstwem spotyka. Z takim usposobieniem duszy, nie mogli jak tylko wolno postępować, późnym też wieczorem stanęli przed karczmą w Słupi, i dopiero dźwięk skrzypcy, gwar rozmawiających, wesołe okrzyki tańczących, wyrwały ich z miłego upojenia, i przypominały, że już są u celu dzisiejszej wędrówki. Weszli więc do izby, w której chcieli na noc znaleźć przytułek, ale zaraz stracili wszelką nadzieję mienia chwili do wypoczynku,

zastawszy całą izbę przepełnioną ludźmi, a w środku ochocze tańczących koło. Izba karczemna, jak zwykle w Polsce, bardzo była obszerne, olbrzymi pociąg belek dalekich sięgał czasów, jak rok wyryty na środkowej dowodził. W rogu izby za ogrodzeniem, krzątała się gosposia, Hebe narekowa, nieustannie nalewając kieliszki i szklanki ochoczym gościom: w przeciwnym kącie, Zydek rudobrody, na stoliku siedzący, otoczony ciekawymi dziećmi, rzemopolił na skrzypcach rozmaite tańce, z resztą wszystkie ławy, naokoło izby stojące, zalegli goście, składający się z chłopów, Górników, hutników, kurzaczy, mieszczan i kilku moskiewskich żołdaków. Każdy z tych stanów szukał swojego grona, i tam rozprawiał; między chłopami, rozmowa o tém co najbliższej tyczy, o panach; wielu powstawało na swoich, ale znaleźli się i obrońcy. Suska z Kopca mówił: gadajcie co chcecie, w ogóle dobrze nam życzą, a wszakże to w naszym państwie Iwaniskim, nasi panowie, spichlerz nam z dużym kosztem założyli, z którego biedny człowiek czy na siew, czy na chleb, pożyczć może, a po żniwach choć się odda z procentem, to przecież tylko dla dobra nas wszystkich; mamy już dużo zboża, co z roku na rok się powiększa, tak że już nigdy bieda nam nie dokuczy. Potwierdził zdanie Suski Kuba z Kobyłan, opowiadając, jakie dobre chałupy ich Pan im pobudował. Od Panów przeszli do gospodarstwa, a wtenczas dziwy prawił Michał z państwa Garbackiego o swoim Panu, chwalać go, że dobry i sprawiedliwy, ale pewno z diabłem trzyma, już to, że wie wszystko, co się między ludźmi dzieje, już też, że ma w domu tyle kół, kółek, co jak każe, to się wszystkie obracają, któremi mąkę bez wody i wiatru mele, i nie wiedzieć co jeszcze; a wszędzie sieje i zbiera, po wawozach, urwiskach, gdzie dawniej trawa nie rosła. Górnicy rozprawiali sobie o Skarbniku, duchu opiekuńczym kruszców i wszystkich skarbów polskiej ziemi, jak dobrym w pracy pomaga, a złym prędzej czy później karę wymierza. Hutnicy rachowali wielkie zyski, co im się otwierają w nowo zakładających się piecach, wspominali o Panu z Wielkopolski, co nad brzegiem Kamionny, dobrocią tyle ludzi do siebie pociąga, a udzielając pracy, sprawiedliwie ją nadgradza; kurzacze więcej zatopieni w trunku, rozprawiali z żołdakami moskiewskimi, a jako najbiedniejsi, najwięcej robili planów na przyszłość, gdyby nagle los lepszy miał być ich podziałem; jeden z Moskali najbujniejszej wyobraźni, wyrzekł, że gdyby on nagle obudził się Carem, toby zwarował, (ukradł) sto rubli srebrnych i uciekł za granicę (\*).

Grzes i Anusia w zakątku izby, skromne zajęli miejsce, patrząc z niejakim podziwieniem

(\*) Historyczne.



na świat tak mało im znany, co ich otaczał; który chociaż działał na zmysły wesołością, nie przemawiał jednakże do dusz prawda prostych, ale ochrzczonych szczęściem miłości, a tem samém do najwyższych sfer sięgających. Powoli Górniczy zaczęli zaczepiać kolegę najprzód rozmową, potem trunkiem, a wywiódłszy mimo oporu Anusię w taniec, udało im się wciągnąć i Grzesia w ochocze koło. Nagle znalazł się w parze z Katarzyną z Kunowa, córką bogatego kamieniarza. Biała jej szyja jeszcze bielsza się zdawała, przy kilku sznurkach wielkich korali, długie warkocze spadały na zielony kaftanik, a czarne oczy dziwnym świeciły ogniem. Była to zupełna piękność, do tego świadoma o sobie, a więc nie tracąca żadnej okoliczności, w której się jeszcze w lepszym świetle ukazać mogła. W pierwszej chwili Grzesz nie miał o-czów dla niej, machinalnie tylko się kręcił, ści-gając okiem i duszą, skromnie przybraną Anusię, wesoło płaszącą z innym Górnikiem. Ale gdy Anusię, wesołość tańca, dotąd jej nie zna-na, w takie upojenie wprawiła, że nie odpo-wiadała czułym wejrzeniom Grzesia, i on przez pewne uczucie mszczącej się zazdrości, zaczął więcej zważać na swą tancerkę, która żadnej nie traciła sposobności, by go olśnić swymi wdziękami. Tak było przez ciąg tańca, lecz gdy muzyka ustała, znów się znaleźli Grzesz i Anusia, i znów im się zdawało, że dla nich dwojga tylko świat cały jest stworzony. I tak-by było zostało, gdyby rudobrody Zydek, jak-by potomek węża edeńskiego, nie był znów za-rzepolił nowego tańca, w skutku czego kil-ku młodych Górników porwał Anusię, i wnet migotała się tylko w zwinnych obrotach przed o-czami Grzesia. Niekontent z siebie i z wszy-stkiego co go otaczało, poszedł między starszych kolegów szukać pociechy, czyli przedrzeć ogłu-szenia w trunku, przy którym zwawia rozmowa zwróciła się z całą szczerością ludzi podpiętych ku niemu. Zaczęli mu robić uwagi, czemu się żeni z biedną sierotą, i nie bardzo piękną, kie-dy przy jego dorodnej postaci, bogatszejby mógł dostać, a przy dostatkach, nie potrzebowałby wiecznie być prostym Górnikiem, mógłby kie-dys wyiść i na sztejgra. Grzesz się najprzód o-burzał, potem jak mógł odrzucał te myśli, ale mimowolnie oczy patrząc na wciąż mu wskazy-waną Katarzynę, niekorzystne robiły porówna-nie dla Anusi, której główną pięknością było serce przeglądające w każdym uśmiechu, w ka-żdym ruchu. Czem weselej tańczyła Anusia, tém Grzesz zagrzany trunkiem, i radami zna-jomych, więcej się myślał zbliżał do Katarzyny, wreszcie poskoczył ku niej, porwał do tańca, i nie rozłączył się z nią aż z końcem zabawy, to jest z świtem. Z pierwszym słońca promieniem ruszyli Grzesz i Anusia ku domowi, ona mimo znużenia, wesoła po wesoło spędzonej nocy, on zamyślony ucinkowo odpowiadał na jej pytania,

tak że wkrótce zalekniona, mówić przestała; i tak oni, co w wilią tyle sobie mieli do powiedze-nia, dzisiaj kilka mil przebyli razem w grobo-wém milczeniu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Kronika literacka.

### Pielgrzymka do Ziemi-Swiętej X. Ho-lowieńskiego.

(Dokończenie.)

To nie wielkie miasto przedstawia jeden z najbardziej zajmujących wschodnich widoków, odkrywając malarzowi tysiączne skarby kolorytów dobrane pożenionych. Na gorze czernią się cedrami obrosłe obszary, sterczą miedzianej barwy skały, bieleją śnieżne Libanu szczyty, roz-promienione blaskiem słonecznym, a czasem gęsta chmura zasłoni całe to malownicze panora-ma; na dole, szare od czasu, a fantastyczne kształtem mury, o stopy których rozbija się mru-cząc perlista piana błękitnego morza, różnobar-wne flagi okrętów leżących na kotwicach, snu-jące się roje kupców i majtków, majowa zielo-ność aloeów, odznaczających ścieżki za miastem, złote owoce bananów, pomarańcz, różowe gro-mady z pachnącym kwiatem, gdzie nigdzie pal-ma wybujała okrywa inne krzewy swym para-salowym szczytem, i gęste obszerne na milę, nie-przejrzone gaje z drzew oliwnych i cytryno-wych, pomiędzy którymi wązkie ścieżki, gdzie nigdzie przystrojone w bogato rzeźbione fontan-ny, lub w malownicze wiejskie mieszkania, pro-wadzą ku drugiej stronie podnóża Libanu, gdzie bieleją w oddaleniu w pośród zieloności winnic, maronickie klasztory, zamki i ogrody. Jedyne to miejsce, którego nie przechwalał nawet La-martine w swoim przesadzonem a powierzchow-nym opisie: „Podróż na wschodzie.“ Zału-jemy więc, że autor Pielgrzymek nie dość szcze-gółowe skreślił nam jego piękności; lecz powe-tował to dostatecznie, dokładnym opisem mniej znanych stron Libanu, wykładem jasnym we-wnętrznój organizacji Maronitów, obrazem ich domowego życia i charakteru. Jak wzniosłe, naturalne i prawdziwe uwagi, nad różnicą istnie-jącą pomiędzy ludźmi oświeconymi prawdami Ewangelii, a ludźmi rządzącymi się niedokładne-mi, sofistycznymi prawami, z materyalnych po-budek wynikłymi! Porównanie albo raczej *zbliz-nienie* (dla światła i cienia) Maronitów, do Druzów, jest mistrzowskim obrazem w rodzaju Jean-Paula.

Dotychczas żaden z podróżnych (z najświa-tlejszych nawet) nie skreślił nam tak dokładnie wielkiego i szczegółowego obrazu Libanu, i nie-ledwie, że nie składamy podziękowań *Dzumię* za to, że zmusiła autora schronić się w te gó-ry. Co się tyczy pochodzenia Druzów, mniema-



my, że takowe dałoby się wywieść jeszcze od Karamatów (1). Potomków tychże, przezywano Betheańczykami, lub Izmaełańczykami. Trudnili się oni grabieżą i rozbojem, i stanowili towarzystwo dość niepodległe i niezależne od praw, jednakże mające panującego nad sobą, którego od nich wymagał niewielkich danin i ślepego posłuszeństwa, gdy mu szło o zgładzenie (przez morderstwo) jakiego sąsiedniego Króla. Ci Betheańczycy osiedli byli około roku 1091. pomiędzy Irakiem Perskim i Palmirą: (niezbyt więc odległe od Libanu). Ich pierwszy książę nazywał się Hassen-Sabah, przybierał zaś tytuł: *Starca z gór*. Data ich zawitania w te strony, jest bardzo zbliżoną do daty panowania Kalifa Hakemy, za którego to mieli się zjawić Druzowie w tej okolicy.

Ponieważ ci Betheańczycy po 171 latach (jakiejkolwiek, potężnej jednakże pod berłem jednego) organizacji, rozproszeni nareszcie zostali przez Mongołów, wielu z nich schroniło się w góry Libanu, i tam przechowało swoje dawne zwyczaje, gdyż wiadomo nam tak z historyi wojen krzyżowych, jak i z autorów piszących o Arabach, że Betheańczycy nie mieli żadnej religii, trudnili się rozbojem, i dali się poznać kilkoma ważnymi zabójstwami, popełnionymi na osobach Kalifa Amera (Fatimie), Kalifa Mostarcheda (Abbasside), Wezyra Baydadekiego Nazema; z książąt zaś chrześcijańskich, Margrabiego de Montferrat i Ludwika Bawarskiego, a popełnili te wszystkie morderstwa, z rozkazu i z politycznego widoku swego księcia. Ludwik święty, za ledwo nie padł także ich ofiarą. Liczyli oni lata od Alexandra Wielkiego. Porównując różne podania o nich i o Druzach, możnaby dojść prawdy.

Oprócz wyżej wymienionych opisów, podziwiamy jeszcze w tym drugim tomie żywy obraz Damaszk, i szczegółowość krytycznych uwag nad sławnymi ruinami Balbeku. Ogólnie mówiąc, znaleźliśmy w dwóch pierwszych tomach pielgrzymki X. H. wiele rzetelności, wiele wiadomości i wiele starannych poszukiwań. Pisane są z prostotą i łatwością; szczegóły drobne, o klasztorach, gościnnym przyjęciu i t. p., chociaż często powtarzane, nie są jednak bez interesu, a niechaj czytelnik nie sądzi wcale, aby takowe były ze zbyt podchlebniej strony kreślone, gdyż każdy podróżny (tak duchowny jak świecki) zaświadczy w potrzebie o prawdziwie chrześcijańskim duchu klasztorów Ziemi-Swiętej. Tam tylko poznajemy, (jak u źródła) jaki był cel tych, co zakładali podobne Bractwa, tak potrzebne w czasie wojen, zniszczeń i ku rozkrzewianiu chrześcijańskiej oświaty.

Te drobne szczegóły, mniej nas teraz zajmujące, będą kiedyś przez następnych z ciekawo-

ścią czytane, równie jak my teraz z ciekawością szukamy w pielgrzymkach R. Sierotki, lub w podróży Twardowskiego drobnostkowych, nawet szczegółów, sprawdzających w oczach naszych podania, o zwyczajach tamtych wieków.

Każda rzecz jest dobrą, o ile z niej zrobimy dobry użytek. Lamartine nie dla tego nie znajduje u nas podziwienia (co do swoich wrażeń), że nas karmi drobnymi szczegółami, więcej niż historyczną filozofią, lecz, że te drobne szczegóły nadyma jak pęcherze i wszystkie do swojej osoby przyczepia, co z czasem, sprawia okliwy szelest dla obcych uszów. Dumas, (dowcipny podróżnik w swoim gabinecie) wynajduje różne przygody i różne ciekawe szczegóły z książek i z wyobraźni swojej, aby na ten temat skleić kilka dowcipnych żarcików. Najpewniejszy jesteśmy wiedzieć coś stanowczego o obyczajach i zwyczajach mieszkańców tej części wschodu z poważnych i prostych opowiadań Chataubrianda. Szczegóły, które nam podaje X. Hoł., są skreślone z podobną rzetelnością i prostotą.

I w takowy tylko sposób wolno zajmować publiczność swoją osobą. Boże nas zachowaj, od „Pamiętników, i bohaterkich Rapsodów, sławnych ludzi i podróżników, których już Francuzi mają do przesyty!”

Jednakowoż, umiejętnie opisywanie podróży, będzie zawsze naukową gałęzią, niosącą pożyteczny owoc towarzystwu, służąc za kronikę wieku i świata.

Pożytecznym rezultatem podróży będą zawsze, albo badania historyczne (2) w rodzaju Volueja, Michaud, Jomard Barault, Senkowskiego i t. p., albo poszukiwania nad starożytnością zabytków sztuki, w rodzaju prac komisyi uczonych z wyprawy Bonap., Champollionów, Wilkinsa, hr. Ed. Raczyńskiego, albo też skreślenie dokładne obrazu miejsc, wskrzeszając historyczne wypadki zaszłe w takowych, przedstawiając obraz obyczajowy sposobu życia krajowców, rektyfikując jeograficzne błędy i t. d. Takimi są, Pielgrzymki Radziwiła Sierotki, Podróże Lebruna i Chataubrianda, i nareszcie Pielgrzymka X. Hołowińskiego, o ile z dwóch pierwszych tomów już wnioskować możemy. Dodać tylko, czekając na następne, że to, cośmy już znaleźli, spełniło nasze oczekiwania, a te kraje bez wątpienia najpoetyczniejsze ze starożytności (niewylączając nawet olbrzymio-ponurego Egiptu, i niegdyś kwiecistej w pośród igrzysk delfickich, Grecyi) znalazły poetyczne i biegłe pióro, ku skreślaniu ich obrazu w naszej rodzinną mowę.

Dnia 10. Lipca 1842 r.

Wł. Wężyk.

(1) Historyk El-Macin i historyk de Marigni.

(2) Cytuje tu nowszych tylko.